

Błyski



O śmierci bez patosu

Przyznać trzeba, że wśród natłoku poważnie, a niekiedy przerażająco patetycznie brzmiących tytułów wydawanych w ostatnim czasie zbiorów poetyckich, najnowsza książka Leszka Żulińskiego zwraca uwagę swoją frywolną nazwą. Do tego zaskakuje, bo zawartość temu nie licuje z pikantnym, przez co tak frapującym tytułem. „Pani Puszczalska” bowiem to książka o rzeczach ostatecznych, zawierająca refleksje, które literatura, zdawać by się mogło, wyeksploatowała już do umentu.

Anna Dominiak

Dziś mówi w poezji o problemie przemijania i śmierci, nie ocierając się przy tym o patos i banał, jest prawdziwą sztuką. Już w wierszu otwierającym zbiór Leszek Żuliński (trudno oprzeć się pokusie utożsamienia podmiotu z samym autorem) w bezpośredni i autoironiczny sposób przedstawia własne doświadczenie vanitas, z rozrzewaniem wspominając czas, gdy mógł „pisać traktaty i bałamucić dziewczęta”. Wylicza przy tym określenia konotujące rozpad:

*(...) pokryłem się łuską,
zasnułem patyną, zrogowaciałem
i zaśniedziałem, rdza mnie toczy,
murszuję*

(„Marzenie”)

Jednak, szamocząc się z cielesnymi ograniczeniami, nie przestaje pragnąć i marzyć, nie tylko o zmysłowych rozkoszach, ale szczególnie o tym, by „wzrokiem sowy, myślą mędrca” objąć całość własnego doświadczenia. I zbiór ten jest właśnie taką próbą – objęcia poezją istoty tego, co składa się na życie. Ogarnięcia, podsumowania, rozliczenia, z pełną świadomością kurczącego się coraz szybciej czasu.

Jeszcze raz podkreślę, że trudno oprzeć się tu wrażeniu, że jest to wyznanie wyjątkowo osobiste (autor sam przecież zwykł nazywać siebie tetrykiem, jakkolwiek mocno mielibyśmy ochotę z tym polemizować).

Kolejne chwile spędzone na lekturze wierszy z tego tomu jeszcze bardziej umacniają nas w przeświadczeniu, że mamy do czynienia z niezwykłym ujęciem znanej i jakże bardzo wyeksploatowanej w liryce tematyki i jakkolwiek mało odkrywczo brzmiałaby ta myśl, trzeba ją tu wyartykułować raz jeszcze: Leszek Żuliński zdaje się przekonywać, że dopiero z perspektywy lat możemy zbliżyć się do prawdy o sobie i o świecie, zweryfikować spojrzenie na istotne i pozornie nieistotne składniki egzystencji. W wirze zdarzeń, ekstazie życia trudno jest bowiem objąć umysłem to, co stanowi esencję istnienia.

Rozmyślaniom o kresie towarzyszą rozważania natury, i tu wypada użyć tego słowa: metapoetyckiej. To co wydaje mi się najciekawsze w tym tomie, to właśnie refleksja o tworzeniu, zawarta w cyklu znamiennej zytułowanych tekstów. Poeta rekapitułuje w nich swoje poglądy na temat języka, zaznaczając, że szczególnie dojmującym, co oczywiste w przypadku poety, jest problem słabnącej mocy kodu, którym w wyrafinowany sposób porozumiewa się ze światem. Z przymrużeniem oka opisuje postępującą afazję, przeprowadza remanent słów, a o języku mówi w prawdziwą czułością, antropomorfizując go i wyposażając w zdolność myślenia: w jego ujęciu język przestaje być tylko kodem, a staje się niezależnym, mentalnym bytem:

*(...) słowa nie do wypowiedzenia,
słowa stające kością w gardle,
słowa, które zagłuszamy w sobie od lat*

*język ich się boi, nie dopuszcza do głosu,
a my z zasznurowanymi ustami
zabierzemy je do grobu*

(„Tabu języka”)

Perspektywa kresu wzmaga w poezji potrzebę przeprowadzenia rozrachunku ze słownikiem, gdy natrętnie dają o sobie znać leksemy zapomniane i te, nazywające nigdy niezaakceptowaną, obcą rzeczywistość:

*(...) mocuję się też ze słowami, których nie
rozumiem*

*na przykład: debet, eutyμία, trychotomia,
tryumf, zbawienie, purpurat*

(„Słowa”)

Sporo uwagi poświęca w tym tomie także niełatwemu losowi poety i samego wiersza, który – upersonifikowany, czy też tożsamy z jego autorem, manifestuje swą narcystyczną, choć sam nigdy się do tego nie przyzna, naturę. Jednak, jak z serdeczną ironią zauważa poeta, zdumiewające jest, że tak niewiele trzeba, by artysta poczuł się spełniony:

*potęgą wiersza jest oczywista,
trzeba tylko trafić na spragnionego człowieka*

(„Potęga wiersza”)

Lata twórczych zmagani doprowadzają do wniosku, że niestety, większość wysiłków idzie do kosza, że wiersze, dotknięte ułomnością, muszą być skazane na eutanazję przez samego twórcę i tylko te dobre są nieustępliwe, „nie dają się przegonić” („Kłęska wiersza”). Poeta sceptycznie odnosi się do toposu nieśmiertelności artysty i jego dzieła, wyrażając ambiwalentną refleksję o wielkości, ale też

ułatwości słów, przeczuwa raczej ich marność niż nieśmiertelność. W „Wierszu agnostycznym”, stopniując wynikające z nasuwających się asocjacji napięcie, budzi namysł nad niepojmowalną nicością („kiedy już zrozumiemy, dalej nie rozumiemy niczego”).

Ta z pozoru lekceważona przyszłość poza kresem jest jednak frapująca, wywołuje jakiś trudny do nazwania niepokój:

*myślę, że na końcu będą muśliny
albo mgła (...)
potem otworzy się niebo (...)
a jeśli otworzy się piekło?*

(„Muśliny”)

Umieranie to zanikanie wigoru i gdy zamiera elan vital, właśnie wtedy iskra poezji pozostaje w poecie, choć i ona nie ocala, a nawet przyspiesza koniec, bo „tonący krzyku się chwyta i wtedy tonie szybciej” („Élan vital”).

Ta napisana językiem nieaspirującym do tonów wysokich książka, pod kostiumem groteski ukrywa próbę całkiem poważnego zmierzenia się z nieodwołalnie nadchodzącą nicością. Każdy powinien taką próbę podjąć, Leszek Żuliński przeprowadza ją, co istotne, w momencie, gdy potrafi jeszcze dać rzeczom właściwe imiona, gdy stać go jeszcze na uśmiech, mimo przecucia nieuchronności wyroków natury.

A może człowiek kultury, poeta uczony, swobodnie i z wdziękiem pływając z Panią Mors, potwierdza myśl Epikura, że nie należy jej się bać, bo przecież czym może być dla nas, skoro tak naprawdę nigdy jej nie spotkamy? Swój intymny, a przecież nietrudny do uniwersalizowania stosunek do niej, przedstawia z perspektywy kogoś, w kim dokonał (lub dokonuje się wciąż) cud ustąpienia mroku przed światłem. Oswajaniu tego przejścia towarzyszą wspomnienia jeszcze nie tak dawnych uniesień, szaleństw, namiętności, które pozwalają z błogim poczuciem spełnienia przymierzyć się do zamknięcia ostatniego rozdziału. Aspektem odchodzenia jest również, jak się okazuje, doświadczenie antynomii: grawitacji i lewitacji, *sacrum* i *profanum*; to karkołomny taniec na linie, która prowadzi od *ars vitae* do *ars moriendi*.

Poeta konstataje, że śmierć ma tylko wtedy sens, gdy zanikamy totalnie. Pokazuje też, że jej bliska perspektywa uwrażliwia na detal, którego kontemplacja może odwracać uwagę od tego, co się ponad wszelką wątpliwość z jednej strony oddala i z drugiej – przybliża. Im bliżej kresu – artykułuje wyraźnie – tym bardziej prawdziwa wydaje się analogia pomiędzy naszym losem a jednodniowym żywotem jętki.

To oczywiście tylko niektóre z zarysowanych tu problemów. Trudno jest w krótkim tekście dotknąć całego bogactwa kulturowych skojarzeń, aluzji, cytatów, gier z formą, wątków, które zgromadził w swojej niedużej rozmiarami, a jednak ważnej i naprawdę poruszającej książce Leszek Żuliński.

Na koniec jeszcze jedno – perspektywa piekła istnieje. Przeczuwa ją agnostyczny umysł i między wierszami przeświełającymi mrok, wyraźnie to sygnalizuje.

Leszek Żuliński, Pani Puszczalska, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2016, 46 s.